

✎: Konkurs na dyrektora Teatru Polskiego we Wrocławiu wzbudził ogromne emocje. W ciągu dwóch kadencji dyrektacji Krzysztofa Mieszkowskiego powstało wiele głośnych spektakli prezentowanych w kraju i za granicą. I kiedy ten teatr stał się jedną z ważniejszych scen w Polsce, do konkursu na nowego szefa zgłosiło się zaledwie kilku teoretyków teatru i praktyk, czyli pan. Zastanawiał się pan dlaczego?

Myślałem, że wystartuje przynajmniej kilkunastu chętnych. Tak jak było w Krakowie, Bielsku-Białej czy Katowicach. To, że we Wrocławiu byłem jednym z zaledwie dwóch praktyków teatru, też mnie zdziwiło. Mam zresztą własną teorię na ten temat. Każdy twórca teatralny, który stanąłby do konkursu i ten konkurs wygrał, chciałby mieć pełen wpływ na kształt artystyczny teatru i zapewne nie powołałby Krzysztofa Mieszkowskiego na zastępcę dyrektora do spraw artystycznych, bo byłaby to dwuwładza. Ale plany dyrektora Mieszkowskiego i grupy faworyzowanych przez niego aktorów do tego właśnie zmierzały. Krzysztof Mieszkowski zawsze podkreślał, że chciałby pozostać na stanowisku dyrektora artystycznego.

A fakt udanego startu w wyborach z ramienia Nowoczesnej nie mógł być odebrany jako zakończenie jego przygody teatralnej?

Wielu tak myślało, ale pan Mieszkowski mimo swojego zaangażowania politycznego chciał pozostać dyrektorem, nie startując w konkursie.

Może czuł, że nie ma szans na wygraną, bo nie ma wyższego wykształcenia?

Rzeczywiście konkurs przewidywał warunek wyższego wykształcenia kandydatów. Jest ono zresztą powszechnie wymagane przy rekrutacji na znacznie mniej odpowiedzialne stanowiska, tu nie powinno to nikogo dziwić. Warto jednak przypomnieć, że kilka lat temu Ministerstwo Kultury złożyło Mieszkowskiemu bardzo dogodną ofertę: on pozostaje dyrektorem artystycznym, organizator poszukuje dyrektora naczelnego. Z planów nic nie wyszło, Krzysztof Mieszkowski nigdy nie zrezygnował z obu funkcji. Były dyskusje, przepychanki, w wyniku których postanowiono ogłosić konkurs.

Myślę, że pański poprzednik fakt ogłoszenia konkursu potraktował bardzo emocjonalnie. Podjął kilka ryzykownych decyzji artystycznych, które okazały się sukcesem i wywindowały Teatr Polski wysoko. Stąd w jednym z wywiadów powiedział: „Teatr Polski to ja”.

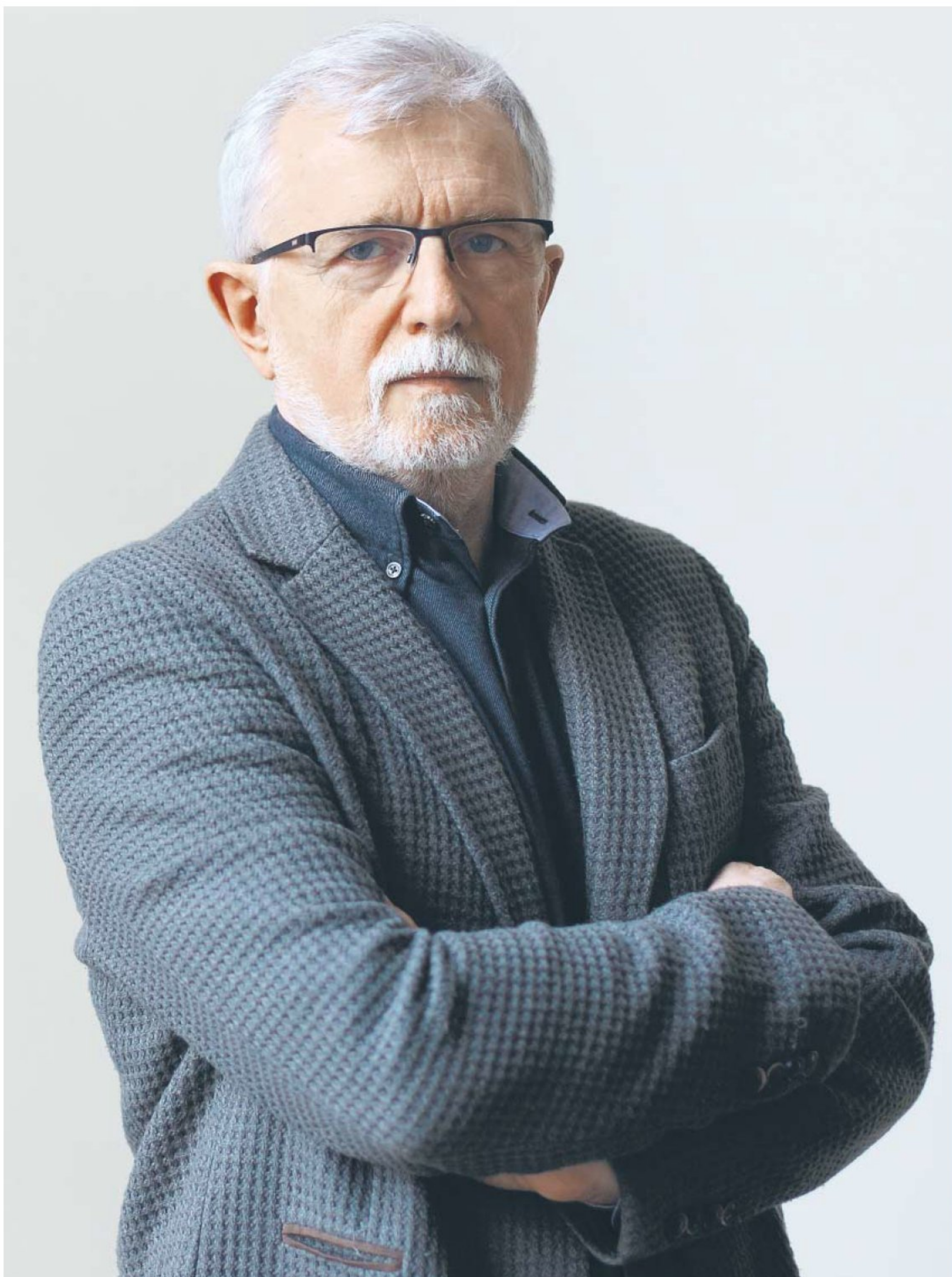
I w tym jest cały problem. Teatru Polskiego nie stworzył przecież Krzysztof Mieszkowski. To instytucja z wieloletnią tradycją i historią, która zapisała się ważnymi wydarzeniami artystycznymi i dyrekcjami, m.in. Zygmunta Hübnera, Jerzego Grzegorzewskiego, Igora Przegrodzkiego, który przeprowadził ją przez trudne czasy stanu wojennego, Jacka Bunscha, który wslawił się spektaklami Gombrowicza, Witkacego czy głośną inscenizacją „Dzieci Arbatu”, którą do dziś mam przed oczami. To też czasy Pawła Miśkiewicza i epoka Jacka Wekslera, dzięki któremu w tym teatrze pojawili się Jerzy Jaroński i Krystian Lupa.

Pana przeciwnicy mówią, że konkurs był ustawiony, że od razu było wiadomo, że pan go wygra.

Ci, którzy odpadli, oraz ich zwolennicy zawsze wysuwają tezy, że wszystko było ustawione. W przypadku Wrocławia rzecz jest o tyle jasna, że gdyby konkurs był ustawiony pod mnie, nie musiałbym startować w nim dwukrotnie, a jak wiadomo, pierwszy nie został rozstrzygnięty. Przygotowywałem się do konkursu rzetelnie, wykorzystując swoje doświadczenie aktorskie, reżyserskie i menedżerskie.

A w prasie w większości artykułów występował pan głównie jako „znany aktor serialowy”.

Obecnie powszechny jest trend, że liczy się tylko „tu i teraz”, nieważna jest przeszłość i dorobek często kilkudziesięciu lat. Nie można się na to zgodzić. Kilkanaście lat pracy w warszawskim Teatrze Współczesnym, do którego angażował mnie Erwin Axer, i tyle samo w Powszechnym Zygmunta Hübnera dla moich oponentów w ogóle się nie liczyły. Podobnie jak wieloletnia praca w Akademii Teatralnej czy organizowanie Międzynarodowego Festiwalu Szkół Teatralnych i nawiązanie kontaktów z podobnymi uczelniami i wybitnymi reżyserami na świecie zostały nagle unieważnione, wymazane. Dla wygody argumentacji przeciwników stałem się teraz wyłącznie aktorem serialowym i komediowym.



PIOTR WITTMAN

SEZON W PIEKLE

CEZARY MORAWSKI, DYREKTOR TEATRU POLSKIEGO WE WROCŁAWIU

Nie ma we mnie zgody na to, by nagonka w mediach społecznościowych miała decydować o mojej czy czyjejkolwiek przyszłości zawodowej.

Nie zgadzam się z tym w trosce o każdego, kogo można byłoby zaszczyć i zniechęcić do podejmowania ważnych dla jego rozwoju wyzwań.

Wiem, że nie było ceremonii przekazania dyrektacji, ale czy miał pan okazję do spotkania z Krystianem Lupą?

Tylko podczas przesłuchania konkursowego. Potem nie. Myślałem, że spotkam się z nim po próbie wznowienia „Wycinki”, ale ostatecznie do tego nie doszło. Rozminęliśmy się.

Po rewelacyjnej „Wycince” bardzo czekałem na jego inscenizację „Procesu”...

Wszyscy czekali. Ja też. Dostyc szybko się okazało, że tego spektaklu nie będzie.

Bo konkurs wygrał Cezary Morawski?

Nie, nie dlatego. Raczej dlatego, że Krzysztof Mieszkowski przestał być dyrektorem artystycznym Teatru Polskiego. Już na początku 2016 roku pan

Krystian Lupa zapowiedział, że jeśli ogłoszony zostanie konkurs na nowego dyrektora teatru, on rezygnuje z wystawienia „Procesu”. W kwietniu 2016 roku dyrektor Mieszkowski podpisał z Krystianem Lupą aneks do umowy, zezwalający reżyserowi na odstąpienie od realizacji spektaklu. I tak się stało. 23 sierpnia 2016 roku, dzień po ogłoszeniu wyników konkursu, Krystian Lupa podpisał oświadczenie, że rezygnuje z reżyserii „Procesu” Kafki. Lupa zrezygnował z realizacji, zanim objął funkcję dyrektora teatru. A więc powodem nie były moje decyzje. Gdyby ktokolwiek inny wygrał konkurs, sprawa wyglądałaby podobnie.

Po tym, co pana spotkało, nie żałuje pan startu w konkursie?

Nie, nie żałuję, bo nie ma we mnie zgody na to, żeby nagonka, napaść w mediach społecznościowych, miała decydować, wbrew obowiązującemu prawu, o mojej przyszłości zawodowej, czy o czyjejkolwiek. Nie zgadzam się z tym w trosce o losy każdego człowieka, którego można byłoby na takich samych zasadach zaszczyć, przestraszyć i zniechęcić do podejmowania ważnych dla jego rozwoju zawodowych wyzwań. Zawsze powtarzam, że to, co mnie nie zabije, to mnie wzmocni. Widzę, że jest szansa na zrobienie dobrego teatru, i będę do tego dążył.

Jako widzowi bardzo podobała mi się linia programowa Krzysztofa Mieszkowskiego. Pewnego rodzaju awangarda, otwartość na eksperyment, kilkunastogodzinne „Dziady”, spektakle Lupy.

Nie miałem zamiaru odcinać się od tego repertuaru, uważam jednak, że jest on pewnym ograniczeniem. Oferta artystyczna tak wielkiej instytucji jak Teatr Polski we Wrocławiu powinna być znacznie szersza. Proponowałem odejście od jednorodowości, jaka ostatnio tu panowała, od zacierania różnicy między sceną główną a Sceną na Świebodzkim czy sceną kameralną. Publiczność domaga się znacznie bardziej zróżnicowanego repertuaru i taki należy się widzom Dolnego Śląska i Wrocławia. Taka była moja idea. Nie chciałem ograniczać się do repertuaru, który proponował mój poprzednik i reżyserzy z nim współpracujący. Najbardziej kuriozalne jest to, że teraz muszę walczyć, by repertuar Krzysztofa Mieszkowskiego pozostał na afiszu. To jest zdumiewające.

Bo odchodzą aktorzy.

Niektórzy bawią się ze mną w kotka i myszkę albo jeszcze inaczej... O godzinie 9 rano dowiaduję się, że jeden lub dwoje aktorów są na zwolnieniach lekarskich, a w ciągu kilku godzin nie można przeciw zrobić nagłego zastępstwa, nie mówiąc już o zmianie dekoracji. Z powodu nagłych zwolnień lekarskich musiałem odwołać w ciągu ostatnich kilku tygodni pięć spektakli. To ewenement na polskich scenach.

Więści z Teatru Polskiego przypominają codzienne relacje z frontu walki.

To zasługa współpracującej niegdyś z Teatrem Polskim lokalnej recenzentki. Narracja jest jednostronna, pełna półprawd i niedomówień. Czytam wierutne brednie, teksty pełne pogardy, konfabulacje. Teraz bezpardonowa walka ze mną i obwieszczenie, że za chwilę zostanę zwolniony, jest trendy.

Ale zwalnia pan ludzi.

Najpierw ogłoszono, że zwalniam wszystkich dyscyplinarnie, i nikt nigdy tego nie sprostował, podobnie jak pozostałych przekłamań. Zwalniam, ale nie w takich ilościach, jak podają media. Niektórzy, jak Bartosz Porczyk, jeszcze przed moim przyjściem postanowili przenieść się do Warszawy. Przy każdym nowym dyrektorze zmienia się także zespół i to jest powszechna praktyka. Zwalniam czwórkę aktorów, a pozostałe to osoby z administracji.

Prasa podała, że zwolnił pan 11 osób.

O jedną więcej. Dyscyplinarnie został zwolniony jedynie kierownik literacki teatru Piotr Rudzki. Za konfliktowanie zespołu i publiczności i nieustanne publiczne działania na szkodę instytucji. Uważnie natomiast przypominam się temu, co tu się działo, i przekonuję się, że wiele w polityce kadrowej było postawione na głowie.

Na przykład?

Na przykład obsadzanie większości spektakli tą samą kilkunastoosobową grupą aktorów. W efekcie mamy sytuację, że kiedy z 48-osobowego zespołu aktorskiego odchodzą cztery osoby, to nie ma co grać. Wyjeżdża „Wycinka” na festiwal i teatr właściwie stoi. To też chcę zmienić. To był jeden z moich podstawowych postulatów. Potrzebna jest inna polityka kadrowa, by teatr, mając trzy sceny, mógł grać na nich bezkolizyjnie.

Zarzucono panu, że zdiagnozował pan z repertuaru aż siedem tytułów.

Rzecz dotyczy sztuk, które od dawna nie były grane. To była propozycja dyskutowana już w kwietniu 2016 roku, czyli za poprzedniej dyrekcji z udziałem specjalistów od marketingu i koordynacji pracy artystycznej. Zresztą wtedy w grę wchodziło więcej tytułów. Ja się tylko do tej propozycji przychyliłem, uznając słuszność argumentacji specjalistów.

Co pana najbardziej zabolowało, a może zaskoczyło w reakcji oponentów? Wielokrotnie przywoływano bardzo emocjonalny głos Mai Komorowskiej?

Zrobiło mi się przykro. Pani Maja miała z pewnością szlachetne intencje, ale nie do końca знаła okoliczności, aspekty i niuanse tego, co się dzieje w teatrze. I tak jak inni została wmanewrowana w pewną narrację. Ten ostracyzm i nienawiść wobec mojej osoby w różnych społecznościowych portalach zaskoczyły nie tylko mnie.

Wchodząc do Teatru Polskiego, miał pan wrażenie, że teren jest zaminowany?

Proszę przypomnieć sobie powitanie mnie na dworcu Wrocław Główny. Nie oczekiwałem delegacji z kwiatami i chlebem i solą. Ale można było sobie darować tę grupę aktywistów, która postanowiła mi wręczyć – oczywiście w świetle kamer – bilet powrotny do Warszawy. I potem tak było na każdym kroku. Krzysztof Mieszkowski odgrażał się, że jak nie przedłużą mu dyrekcji, odejdzie z nim cały zespół. Tymczasem nie porwał za sobą tłumów. Przyjęto inną taktykę. Najwięksi krzykacze pozostali i teren rzeczywiście został zaminowany. Ci z zespołu, którzy przyjęli mnie z nadzieją na dobrą współpracę, bo chcą normalnie pracować, czuli się zastraszeni. Ten rozmiar nienawiści zaskoczył nie tylko mnie, ale miejscowe władze, ogromną część koleżanek i kolegów z całej Polski. Nie wiedzieli, jak na to zareagować. Pozostali bierni z lęku i obawy. Jeśli ktoś postanowił wystąpić w mojej obronie, natychmiast był atakowany i niszczone. Dlatego tak późno podałem nazwiska Janusza Wiśniewskiego czy Bartka Wyszmirskiego jako reżyserów premier pierwszego sezonu. Momentalnie się na nich rzucano i próbowano odwieść od współpracy ze mną.

Aktorzy wciąż wychodzą do ukłonów z zaklejonymi ustami?

Większość spektakli, w których zaklejali sobie usta, jest odwoływana z powodu zwolnień lekarskich aktorów. Trudno zatem stwierdzić, czy ich postawa uległa zmianie, czy nie. Zaklekanie ust w trakcie ukłonów, które są integralną częścią spektaklu, jest demonstrowaniem prywatnych poglądów w trakcie wykonywania obowiązków służbowych, a aktorzy nie są zwolnieni z przestrzegania kodeksu pracy.

Nadal nie znamy pełnego repertuaru na cały sezon.

Gdybyśmy tę rozmowę prowadzili na żywo, jeszcze nie dokończyłby pan nagrania, a już moi oponenti zaczęliby wykrzykiwać, że to, co robię, jest bez sensu, że prowadzę teatr do upadku i należy mnie natychmiast zwolnić. Cokolwiek by to było. Oni powtarzają jak mantrę, że wszystko, co robię, jest złe, przeciwko kulturze, przeciw Wrocławowi. Dlatego podaję informacje o kolejnych pozycjach repertuarowych tuż przed rozpoczęciem prób. Mogę jednak zapewnić, że do końca sezonu w Teatrze Polskim pojawi się co najmniej pięć nowych tytułów.

I ciągle pan chce walczyć?

Walczyć nie, po prostu pracować. W powszechnej opinii oceniać pracę i linię artystyczną dyrektora teatru można po trzech sezonach. Mnie niektórzy postanowili wystawić laurkę jeszcze przed rozpoczęciem pracy, torpedując wszelkie późniejsze działania. Ja traktuję ten konkurs i ten teatr jako bardzo poważne zobowiązanie wobec mieszkańców Wrocławia i Dolnego Śląska, do których chciałbym wyjść ze znacznie szerszą ofertą artystyczną niż dotychczas, wobec zespołu, którym kieruję, i władz, które obdarzyły mnie zaufaniem. Jestem nastawiony na ciężką pracę, która musi przynieść efekty. Mówi się o sukcesach artystycznych poprzedniej dyrekcji, ale nie wspomina, że ta placówka finansowo została doprowadzona na skraj bankructwa. I za chwilę trzeba by ją było po prostu zamknąć. Pierwszym moim posunięciem było uporządkowanie spraw finansowych. Dzięki wielomiesięcznym negocjacjom i dobrej woli organizatorów udało mi się wyjść na prostą.

Mówi pan, że uzdrowił sytuację finansową, ale pańscy oponenti przypominają, że przed laty nie sprawdził się pan jako skarbnik ZASP.

Najbardziej moich oponentów boli, iż okazało się, że jedyną moją winą było niedopilnowanie księgowego. Bardzo chcieli mnie obsadzić w innej roli. A czasy prezesury Kazimierza Kaczora i mojego skarbnikowania to remont Domu Aktora w Skolimowie, zakup dodatkowego terenu, budowa ogrodzenia z „łata” antypowodziową

(więc od kilkunastu lat teren Skolimowa nie jest zalewany wiosennymi roztopami), remont zamku w niedalekich od Wrocławia Domanicach, w którym miało powstać Europejskie Centrum Kultury, remont stropów w budynku ZASP przy Alejach Ujazdowskich itd.

Postanowił pan przeprowadzić audyt w Teatrze Polskim.

Nie przekazano mi teatru żadnym protokołem zdawczo-odbiorczym. Audyt był zatem konieczny, bo chciałem jasno pokazać, w jakiej sytuacji jest Teatr Polski. I jeśli w poprzednich latach były jakieś nieprawidłowości, to trzeba je nazwać i wskazać ich przyczyny. Krzysztof Mieszkowski nie realizował wniosków pokontrolnych audytów przeprowadzanych przez urząd marszałkowski.

A jak przyjął pan pomysł powołania dyrektora artystycznego, a właściwie zastępcy do spraw artystycznych? Strajkująca część zespołu sugerowała, że mógłby nim być Piotr Rudzki.

Zastępcą dyrektora do spraw artystycznych musi cieszyć się pełnym zaufaniem dyrektora naczelnego, bo naczelny odpowiada za wizję artystycznego, powinien ją podzielać i pomagać w realizacji. Piotr Rudzki, mianowany kierownikiem literackim przez pana Mieszkowskiego, był moim głównym oponentem w zespole i nigdy tego nie ukrywał. Nie chciał pogodzić się z faktem, że zostałem dyrektorem, i działał przeciwko mnie, czując się całkowicie bezkarnym i nieusuwalnym. Myślę, że jego działania kwalifikowały się do jednoznacznej reakcji z mojej strony.

A w ogóle zgodzi się pan na mianowanie zastępcy do spraw artystycznych?

Sprawa nie jest taka prosta. Powołując zastępcę do spraw artystycznych w chwili obecnej, pozostawałbym w sprzeczności z moją deklaracją konkursową. Organizator w aplikacji konkursowej postawił jasno sformułowane pytanie: czy będę powoływał zastępcę dyrektora do spraw artystycznych czy nie? Odpowiedziałem, że nie będę powoływał nikogo na takie stanowisko. Między innymi na tej podstawie zostałem rekomendowany na stanowisko dyrektora i następnie moja kandydatura została przegłosowana. Do tego jeszcze są konkretne zapisy w ustawie i statucie teatru określające zasady obsadzania tego stanowiska.

Przed rozmową z panem zadzwoniłem do kilku uznanych reżyserów różnych pokoleń z pytaniem, czy

wyreżyserowaliby coś u pana. Okazuje się, że spora część nie odrzucała możliwości współpracy. Tylko niech pan najpierw przetrwa pierwszy sezon – powiedzieli.

Mam podobne deklaracje. Więc, jak pan widzi, jest o co się starać.

Dlaczego więc w lutym niczego nie gracie na dużej scenie, na malej głównie stare farsy, a na Świebodzkim dominuje Wrocławski Teatr Pantomimy.

Z różnych względów: finansowych, administracyjnych i kadrowych, związanych między innymi z licznymi zwolnieniami lekarskimi aktorów. Jesteśmy w trakcie budowania nowego repertuaru. Był nawet taki pomysł, aby zamknąć wszystkie sceny, nie narażać publiczności na zgaduj-zgadulę: będzie dzisiaj spektakl czy nie? Przyjeżdżają widzowie z odległych miast i nie możemy sobie pozwolić na utratę zaufania. W rezultacie zamknięta jest scena główna, na którą wchodzi z próbami Janusz Wiśniewski. Na Scenie Kameralnej gramy stare farsy, bo nowych nie ma. Premiera nowej komedii na początku marca. A na Świebodzki w drugiej połowie lutego zapraszamy dzieci z rodzicami.

A co by pan chętnie wystawił na koniec sezonu?

Jest utwór Artura Rimbauda, którego tytuł idealnie pasowałby do obecnej sytuacji w Teatrze Polskim. To „Sezon w piekle”. Ale z drugiej strony, przypominają mi się słowa jednego z przebojów Budki Suflera: „A po nocy przychodzi dzień, a po burzy spokój”... ©©

—rozmawiał Jan Bończa-Szabłowski